

„Oto ukląkł ten, który nie musiał, w imieniu tych, którzy uklęknąć nie chcieli” – Willy Brandt w Warszawie 7 grudnia 1970 r.

Pięćdziesiąt lat temu ówczesny kanclerz RFN, Willy Brandt, przyjechał do Polski, by podpisać z naszym krajem układ o normalizacji wzajemnych stosunków. O tej wizycie i najsłynniejszym wydarzeniu z nią związanym pisze prof. Grzegorz Berendt, historyk i wicedyrektor Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku

7 grudnia 2020

Wymowa jednego wiersza bywa niekiedy silniejsza, niż treść tomu naukowych studiów na ten sam temat. Podobnie bywa z gestami, które bardziej zapadają w pamięć, niż jakiegokolwiek słowa. Do takich gestów należy sposób oddania hołdu ofiarom Zagłady, jaki wybrał kanclerz Republiki Federalnej Niemiec, Willy Brandt, w Warszawie 7 grudnia 1970 r.

Przez ponad dwie dekady rządami RFN i Niemieckiej Republiki Demokratycznej kierowali ludzie, którzy w okresie Trzeciej Rzeszy pozostawali w opozycji do nazistów. W obu państwach potępiano prześladowanie i eksterminację Żydów z lat 1933-1945. Jednak to władzom państwowym RFN przypadła rola siły, która podjęła się aktywnego wyrażania skruchy za zbrodnie popełnione przez przedstawicieli państwa niemieckiego na narodzie żydowskim. Stało się tak, ponieważ jeszcze przed powstaniem RFN i NRD, na przełomie lat 1948/1949, Związek Sowiecki przyjął postawę głęboko niechętną wobec Izraela i ruchu syjonistycznego. Jego politykę w tej sferze można nazwać wręcz jednym z przejawów zimnej wojny prowadzonej przez komunistów z krajami demokratycznymi i niezależnymi od Moskwy. To determinowało m.in. politykę NRD wobec Izraela, syjonizmu i światowych organizacji żydowskich niezależnych od Moskwy. RFN, jako państwo skupiające większość ziem niemieckich i Niemców, nie było

skrępowane sowiecką polityką. Między innymi nie było ograniczone tymi elementami jej polityki historycznej, które były nastawione na minimalizowanie przekazu o zagładzie Żydów jako zbrodni wyjątkowej, bezprecedensowej w swym charakterze i skutkach.

Przez kilkanaście lat twarzą niemieckich starań o nawiązanie kontaktów i współpracy z państwem żydowskim i organizacjami żydowskimi funkcjonującymi w diasporze był pierwszy kanclerz rządu RFN – Konrad Adenauer. Dzięki wypracowanemu przez niego stanowisku i podtrzymywaniu go przez jego następców stało się możliwe nawiązanie stałych kontaktów dyplomatycznych między RFN a Izraelem. Było to zadanie – zdawać by się mogło – wręcz niemożliwe do zrealizowania, biorąc pod uwagę to, czego doświadczyli Żydzi z rąk przedstawicieli Rzeszy Niemieckiej i wiedzy na temat eksterminacyjnych planów władz tego państwa wobec całego narodu żydowskiego. Ocaleli z Holokaustu o tym nie zapominali, a wielu z nich odbierało nawiązanie dialogu z „*narodem sprawców*” jako sprzeniewierzenie się pamięci pomordowanych i tych, którzy wprawdzie wyszli z wojny żywi, lecz obrabowani, wyniszczeni i straumatyzowani. Sytuacji nie poprawiał fakt utrzymywania się w RFN nastrojów antysemitycznych oraz występowanie zdarzeń o jawnie antysemitycznym charakterze, przyjmujących postać agresji słownej, a nawet fizycznej. Po zwycięstwie Izraela w wojnie sześciodniowej w 1967 r. w obu państwach niemieckich podnosiły się głosy potępienia dla państwa żydowskiego. W NRD stanowiły one część chóru dyrygowanego z Moskwy. W RFN dochodziły głównie ze środowisk skrajnie lewicowych, sympatyzujących z wrogimi Izraelowi państwami arabskimi i organizacjami palestyńskimi.

Koalicja chadecko-liberalna rządząca RFN niemal do końca lat sześćdziesiątych, była przez blisko dwadzieścia lat zakładnikiem tzw. doktryny Hallsteina. Zgodnie z nią, RFN nie utrzymywała stosunków dyplomatycznych z państwami, uznającymi odrębność państwową NRD. To było jednym z powodów braku formalnych relacji między RFN a PRL. Innym powodem było podkreślanie przez rząd w Bonn tymczasowego charakteru zachodniej granicy Polski. Jedną trzecią terytorium PRL traktowano w zachodnich Niemczech jako tereny, znajdujące się pod „*czasową administracją polską*”. Takie stanowisko, wywołujące zdecydowany sprzeciw w Polsce, było pochodną poglądu wielu milionów Niemców, którzy przez prawie dwie dekady mieli nadzieję na zmianę granicznego status quo na wschodzie. W tej sytuacji nie było mowy o dialogu międzyrządowym między Warszawą a Bonn. Od schyłku lat 50. gesty gotowości do

nawiązania współpracy były wprawdzie okazywane przez niektóre kręgi obywateli tych państw, przede wszystkim przez środowiska religijne, ale nie przez reprezentantów agend państwowych.

Szczęśliwie dla wzajemnych relacji niemiecko-polskich, RFN i NRD zdołały w czasie dwóch pierwszych dekad swojego istnienia zasymilować około 12 milionów uciekinierów i wysiedleńców z Europy Środkowo-Wschodniej. Rosnący poziom życia w RFN skłaniał obywateli tego państwa do obrony stanu posiadania, a nie generowania nowego europejskiego konfliktu. Dzięki temu w drugiej połowie lat sześćdziesiątych ponad połowa obywateli RFN wyraziła gotowość zaakceptowania zmian granicznych w Europie dokonanych na podstawie porozumienia zwycięskich mocarstw w kwestii Niemiec, przyjętego w Poczdamie w sierpniu 1945 r. Zmiana stanowiska większości opinii publicznej na ten temat stanowiła przesłankę wdrożenia przez rząd RFN nowej polityki wobec krajów tzw. Bloku Wschodniego, poczynwszy od października 1969 r. Wtedy powstała nowa koalicja rządowa, tworzona przez socjaldemokratów i liberałów, a urząd kanclerza powierzono znanemu politykowi SPD Willy'emu Brandtowi. Nowe otwarcie w relacjach polsko-niemieckich było możliwe tym bardziej, iż w maju tego roku gotowość do nawiązania dialogu z RFN ogłosił publicznie najważniejszy wówczas polityk PRL – Władysław Gomułka. Miejsce doktryny Hallsteina miała zająć doktryna „*zmiany przez zbliżenie*”. Nie można przy tym zapominać, iż za zmianą w relacjach RFN, tak z NRD, jak i innymi państwami tzw. Bloku Wschodniego, opowiadały się również Stany Zjednoczone, nadal główny gwarant bezpieczeństwa zachodnioeuropejskich krajów demokratycznych.

Trzeba przyznać, że tempo działania nowego rządu RFN i władz PRL było bardzo szybkie. Rozmowy przedstawicieli władz warszawskich i bońskich toczyły się od lutego do października 1970 r., a w listopadzie był gotowy do podpisania tekst układu o podstawach normalizacji i wzajemnych stosunkach między obu państwami. Niezależnie trwała ożywiona praca dyplomatyczna niemiecko-sowiecka, która w sierpniu 1970 r. zaowocowała układem międzypaństwowym. To był sygnał wysłany z Moskwy do wszystkich zależnych od niej państw. Na pewno pomógł on pomyślnie sfinalizować rozmowy bońsko-warszawskie. 7 grudnia 1970 r. kanclerz Willy Brandt podpisał w Warszawie wspomniany układ. Jego rząd uznał w nim granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej za zachodnią granicę Polski. To zaowocowało później m.in. nawiązaniem stosunków międzypaństwowych między RFN i PRL.

Wizyta niemieckiej delegacji rządowej w Warszawie była stosunkowo krótka, jednak niemiecki kanclerz postanowił ją wykorzystać także dla oddania hołdu obywatelom RP – ofiarom ludobójczej polityki Trzeciej Rzeszy. Z powodu doktryny Hallsteina nie było dane uczynić tego na terenie Polski jego poprzednikom. Willy Brandt nie zmarnował szansy. Złożył wieniec przy Grobie Nieznanego Żołnierza i wyraził życzenie złożenia wieńca przed Pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie. Oba wydarzenia nadano podniosły charakter. W licznej delegacji RFN znajdowali się, poza politykami i dyplomatami, także dziennikarze i ludzie kultury zainteresowani zmianą w relacjach polsko-niemieckich, w tym pisarz i plastyk Günther Grass. Nieoczekiwanie, po złożeniu wieńca, kanclerz Brandt ukląkł na oba kolana i pozostał w tej pozycji przez dłuższą chwilę. Licznym fotografom i ekipom filmowym zawdzięczamy utrwalenie tego momentu i możliwość pokazania go opinii publicznej na całym świecie. Gest hołdu oddanego w pozycji klęczącej przez polityka tej rangi był ewenementem. W wymiarze historycznym badacz Christian von Krockow postawił go na tym samym poziomie, co pocałunek braterskiego pojednania prezydenta Charles'a de Gaulle'a i kanclerza Konrada Adenauera, symbolizującego zakończenie trwającego setki lat konfliktu na pograniczu niemiecko-francuskim.

Brandt zdawał sobie sprawę, że klękając nie wykonuje tego gestu jako osoba prywatna, lecz jako przedstawiciel państwa, mającego ponad 60 milionów obywateli, a w pewnym sensie jako przedstawiciel również tych Niemców, którzy żyli w NRD oraz poza obu tymi państwami i potępiali zbrodnie dokonane przez swoich rodaków w czasie wojny. U schyłku życia krótko odniósł się we wspomnieniach do tamtej chwili przed Pomnikiem Bohaterów Getta. Napisał: *„Wobec otchłani niemieckiej historii i brzemienia cierpień milionów pomordowanych, zrobiłem to, co czynią ludzie, gdy słowa zawodzą”*. Kanclerz stwierdził, iż udając się przed pomnik musi zrobić znacznie więcej, niż tylko złożyć wieniec i pochylić głowę tak, jak się to zwykle czyni podczas tego typu wydarzeń. Ale nie konsultował swoich zamiarów z doradcami i tym gestem wszystkich zaskoczył.

Jeden z komentatorów stwierdził: *„Oto ukląkł ten, który nie musiał, w imieniu tych, którzy uklęknąć nie chcieli”*.

Trwa spór o to, czy gest kanclerza Brandta był wyrazem hołdu i współczucia tylko dla Żydów –

ofiar Zagłady – czy wszystkich ofiar niemieckich okupantów w Polsce, nie wyłączając przedstawicieli innych narodowości. Żadna z wypowiedzi kanclerza z czasu bezpośrednio następującego po wizycie w Warszawie nie zdradza, że adresem hołdu były wszystkie kategorie ofiar niemiecko-nazistowskiej polityki ludobójczej, w tym m.in. Słowianie, a wśród nich Polacy. Chociaż kilkanaście lat później, gdy dziennikarz i publicysta Adam Krzemiński zasugerował bardziej uniwersalny charakter tego gestu, Brandtowi spodobała się interpretacja prowadząca do uznania Pomnika Bohaterów Getta za „*właściwe miejsce hołdu wobec wszystkich ofiar zbrodni nazistowskich*”.

Jest natomiast poza dyskusją, że Willy Brandt był głęboko przekonany o potrzebie budowy dobrych relacji z narodem żydowskim, w tym z Izraelem, nie zważając na głosy tych współobywateli, których poglądy w tej kwestii były inne. Tygodnik „Der Spiegel” zadał 500 czytelnikom pytanie, jak oceniają gest kanclerza ich państwa przed warszawskim pomnikiem. Aż 48% uznało go za przesadny (*übertrieben*), 41% za adekwatny (*angemessen*), a 11% nie miało zdania. W tych liczbach nie widzimy więc zdecydowanego poparcia dla tego kroku szefa rządu. Można wręcz powiedzieć, że społeczeństwo niemieckie było w tej kwestii głęboko podzielone. W tym czasie w poszczególnych landach nacjonaści z NPD zdobywali od 7 do 10% głosów w wyborach do parlamentów krajowych, dochodziło też na terenie państwa do aktów antysemickich. Niemieccy sympatycy wrogów Izraela przerywali w drugiej połowie 1969 r. wykłady ambasadora Aszera Ben-Nathana okrzykami, wskazującymi poparcie dla bombowych ataków terrorystycznych wymierzonych w Izraelczyków. Na uniwersytecie w Monachium (sic!) głośno wypowiedziano wobec gościa z Tel Awiwu opinię: „*To, że ten ambasador występuje przed nami należy uznać za prowokację. Można to porównać tylko z sytuacją, gdyby Adolf Hitler zstąpił do nas z nieba, aby dyskutować z nami o obozach koncentracyjnych*”. Porównanie przedstawiciela Izraela do jednego z największych ludobójców w dziejach ludzkości było czymś niebywałym, pokazywało złą wolę i skalę niezrozumienia sytuacji, w jakiej znajdowało się to państwo od pierwszych chwil swojego istnienia. A działo się to wszystko w landzie, w którym w latach 1919-1932 znajdowali schronienie najbardziej zagorzali niemieccy nacjonaści. W landzie, w którym powstał pierwszy nazistowski obóz koncentracyjny – KL Dachau.

Redaktor naczelny pisma „Bild” – Peter Boenisch następująco skomentował to, co zrobił kanclerz:

„Ten katolicki naród [Polacy] wie, że klęka się tylko przed Bogiem. A tu pojawia się jakiś, najpewniej nie związany z Kościołem, socjalista z Zachodu i zgina kolana. To porusza naród. Ale czy porusza także ofiary stalinizmu?”. Znany dziennikarz poddawał w ten sposób w wątpliwość całość polityki dialogu z blokiem komunistycznym. Gdy Brandt poznał komentarz Beonischa, zareagował bardzo emocjonalnie i być może ta reakcja pokazuje, jak ważne dla niego osobiście było to, co zrobił. Miał wtedy powiedzieć bliskiemu współpracownikowi w cztery oczy: „Co te ś...ie mogą wiedzieć o tym, przed kim ukląknęłam”. Bez wątplenia dawny zdeklarowany, radykalny przeciwnik nazizmu dobrze wiedział, jak straszliwą cenę zapłacił świat za 12 lat rządów Adolfa Hitlera. I chociaż sam był bez winy, czuł się współodpowiedzialny za to, co uczyniono w imieniu wszystkich Niemców.

W przekazie medialnym na terenie PRL do minimum ograniczono informacje na temat zachowania kanclerza przed Pomnikiem Bohaterów Getta. Zdjęcie klęczącego Brandta opublikowano w „Życiu Warszawy”, tygodniku „Forum”, gdzie prezentowano przegląd opinii prasy światowej oraz na łamach pisma „Fołk-Sztyme”, będącego organem Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce. Zabrakło go jednak w Polskiej Kronice Filmowej, ówczesnym popularnym i pokazywanym przed każdym seansem filmowym przeglądzie najważniejszych wydarzeń w kraju i na świecie. Jak dotąd nie zbadano sekwencji decyzji, które wygenerowały tę sytuację, a musiały zapadać na najwyższym szczeblu. Na pewno wpisywały się w praktykowaną wówczas w PRL politykę historyczną, która pomijała bezprecedensowość Zagłady i czyniła z Żydów tylko jedną z wielu kategorii ofiar polskiej hekatombi. Najbardziej dobitnym wyrazem przemilczania faktu odrębności wojennych losów Żydów było pisanie po 1968 r. o „6 milionach Polaków zamordowanych i poległych w czasie okupacji hitlerowskiej”. Żydzi na wiele lat zniknęli z podstawowego, syntetycznego, podręcznikowego przekazu o stratach Polski w latach drugiej wojny światowej. W tym zakresie przekaz historyczny w PRL do pewnego stopnia upodobił się do tego, występującego już od schyłku lat czterdziestych w Związku Sowieckim.

Gest kanclerza, chociaż natychmiast rozpowszechniony za sprawą środków masowego przekazu w świecie, nie był w tamtych grudniowych dniach najważniejszym tematem, którym żyła niemiecka opinia publiczna w kontekście warszawskiej wizyty. Daleko istotniejsze były dla niej

konsekwencje niemiecko-polskiej umowy. Wielu Niemców uważało, że zdradził tam interesy niemieckiej wspólnoty narodowej, godząc się na trwały związek istotnej części dawnego terytorium Rzeszy z powojenną Polską. Ludzie podzielający tę opinię dawali jej głośno wyraz, nie szczędząc ostrych słów. Przodowali w tym aktywiści i publicyści ogólnopolskiego związku tzw. wypędzonych. Nie rozumieli, że okazanie gotowości do kompromisu jest tym, czego oczekują zachodni partnerzy, ale też Związek Sowiecki i co na koniec pomoże uzyskać ich poparcie dla zjednoczenia Niemiec. Jako polityk dostosowujący taktykę i retorykę do bieżącej sytuacji, Brandt stał na stanowisku, że „*małe kroki są lepsze, niż wielkie słowa*”. Można dopowiedzieć: niż wielkie, lecz puste słowa. Warszawski gest kanclerza można interpretować również w kontekście politycznego pragmatyzmu. Bogdan Musiał wskazuje, że był on „*pusty*”, bez praktycznego znaczenia, skoro SPD, której ważną postacią był Brandt, w latach 1949-1970 tolerowała rażącą opieszałość wymiaru sprawiedliwości RFN w kwestii ścigania własnych obywateli, którzy w czasie II wojny światowej byli współsprawcami zbrodni ludobójstwa. Nie można jednak zapominać, że w sytuacji, gdy w RFN prawa wyborcze miały miliony byłych członków organizacji nazistowskich twarda polityka wobec nich groziła przejęciem władzy przez siły, które w ogóle nie chciały potępienia nazistowskiego reżimu. A więc i w tej materii trzeba było stosować taktykę „*małych kroków*”. Nie było można dopuścić, aby istotnym elementem niemieckiej sceny politycznej stała się np. NPD. I to się udało. W końcowym rachunku warszawska umowa i gest Brandta z 7 grudnia 1970 r. stały się kolejnym kamieniem milowym na drodze odchodzenia Niemiec od nazistowskiej przeszłości i jej skutków.

Obowiązkiem wizjonerów i mężów stanu jest wskazywanie właściwych kierunków i wzorców działania wspólnot, za które odpowiadają, niezależnie od aktualnych trudności. Historia przyznała słuszność Brandtowi tak w kwestii układu z Polską, jak i znaku pokuty wobec ofiar Holokaustu. Nowa polityka wschodnia koalicji socjaldemokratyczno-liberalnej umożliwiła kanclerzowi rządu RFN podróż do stolicy kraju, który w latach 1939-1945 doświadczył hekatomb i gdzie okupanci wymordowali większość ofiar Holokaustu. Nic nie wskazuje na to, że Willy Brandt swoim poruszającym gestem działał przeciwko swoim przekonaniom. Wręcz przeciwnie. Równocześnie pokazał, że przejęcie steru rządu przez nową ekipę nie stanie na drodze pojednania i współpracy demokratycznych Niemiec z narodem żydowskim, nawet jeżeli miałyby się to dziać bez poparcia części rodaków. Ten kierunek działań rządu RFN jest utrzymywany do dziś.

Grzegorz Berendt

Zdj. domena publiczna